

Rozdział Czwarty

1. Psychofanka

Rano schemat zmianowy się powiela, co przyjmujemy z Karo ze zdziwieniem. Było ustalone, że tym razem to my wchodzimy na pierwszą zmianę, żeby zejść o 14.00 i na spokojnie przygotować się do koncertu. 2xM są jednak zdziwione i mamrocą coś bez sensu na swoje wytłumaczenie. Chcą, żebyśmy siedziały do 15.00, bo coś tam sobie zaplanowały. Nie chcę robić awantur. Co prawda wygląda to tak, jakbyśmy miały jakiś dodatkowy przywilej, ale nie bardzo mnie to interesuje, czy urażamy ich uczucia. Bardzo nastawiłam się na ten koncert, czekałam na niego i nie zamierzam odpuścić. Zgadzą się na ustępstwo i nudzimy do godziny 15.00 w budce bez klientów, zabawiając się grą w karty. Kąpię loczki, wbijam się w koncertową sukienkę i można zapomnieć o obraźliwych koleżankach na parę godzin. Może zabiorę jakiś notatnik w razie gdyby mój ukochany gitarzysta chciał mi go podpisać? Moja miłość platoniczna. Dźwięki, które słyszę dzięki jego zwinnym palcom poruszającym się po strunach i mimika o zabarwieniu wręcz erotycznym, którą obserwuję na jego rozanielonej podczas gry twarzy, sprawiają, że mam ochotę nie rozstawać się z przyciskiem: *Powtórz*. Za nic nie odważyłabym się do niego podejść z jakąś karteczką z logo dostawcy wafelków, a tylko to mam pod ręką. Najważniejsze, że moje oczy go zobaczą bez pośrednictwa Internetu. Okazuje się, że z ekipy Rubiconów idą tylko chłopcy, a że nie wiedzą o naszej małej sprzeczce, idą jeszcze uzyskać darmowe lody na drogę – my darujemy sobie tym razem tej przyjemności. Kuba dostał naprawdę ogromnego świderka i nie może sobie z nim poradzić. Ratuje go jego długie ręce, dzięki nim jest jeszcze suchy. Rozpiera nas pozytywna energia, każde z nas zostawiło za sobą jakąś złą aurę. Po tym, co mówią chłopcy, wnioskuję, że nie tylko w naszym składzie szerzą się negatywne emocje. Jacob nie daje rady i wyrzuca niedojedzonego loda do kosza.

- Kto zrobił Ci tego świderka? – pytam go.
- Ta dziewczyna z różowymi brwiami – odpowiada.
- Wiedziałam, że to Magda. Już wcześniej zauważyłam, że przesadza z rozmiarem.
- Dla Kubę na pewno zrobiła takiego od serca – broni jej Karo, drapiąc się po wmontowanej w ciało bransoletce.
- Pewnie tak. Ciekawe jak to będzie z klientami. Mogę dotknąć tego implantu? – pytam z ciekawością.

Karo się zgadza więc z lekką obawą i skrywanym obrzydzeniem, sięgam w jej stronę. Skóra w tym miejscu jest śliska, z małutkimi zgrubieniami, ale na łączeniu przechodzi gładko w normalną skórę.

- Nie boli Cię to? Nie czujesz się z tym obco we własnym ciele?
- Coś Ty, mam wrażenie, że się z tym urodziłam. Nawet na początku nie bolało, bo dali mi taką maść pachnącą różami i jakieś tabletki. Skóra żabki charakteryzuje się tym, że wtapia się szybko w ciało i wygląda to naturalnie. Normalnie odczuwam dotyk w tym miejscu, jakby nie było żadnej zmiany. Inaczej jest z tymi oczami, które mam na dłoniach.
- Jakimi oczami? Ja nic nie zauważyłem! – odzywa się Robert (wytatuowany Rubicon, którego imię podstępnie wychwyciłam przed naszym wyjściem). – Pokaż je!

Karolina wystawia dłonie tak, żeby wszyscy widzieli kulki po ich zewnętrznej stronie i odsłania powieki oczek palcami przeciwległych rąk.

- {WOW} Widzisz coś nimi? – dopytuje Robcio.
- Niestety nie. Żeby połączyć je z mózgiem, trzeba zapłacić parę tysięcy za implant. Na razie mnie nie stać. Dlatego mam na razie wrażenie jakby ktoś przylepił mi jakieś kulki do rąk, bo nie mogę jeszcze z nich korzystać – mówi z lekkim smutkiem dziewczyna.
- Po co Ci to? – odzywa się z bez entuzjazmu i z delikatnie wyczuwalną irytacją Kuba.
- Podoba mi się. Fajnie wygląda na zdjęciach, a jak połączę je nerwami z mózgiem, to będę mogła widzieć, co się dzieje za mną.
- Tak, kiedy założysz ręce za głowę – mówi zgryźliwie Kuba, zerkając jednocześnie na mnie. Jakby chciał sprawdzić, czy wiem, o co mu chodzi.

Wyobrażam sobie scenę, gdy pojmani prowadzeni są na śmierć. Myślę, że on też, ale pozostała dwójka opisuje sytuację, gdy ktoś będzie ją obczajał od tyłu, a ona dzięki tym oczom będzie wiedziała kto to. Gdy podjeżdża w końcu nasz autobus, stajemy przy niebieskim biletomacie – obsługującym monety i cieszymy się, że tym razem nie musimy jechać na gapę. Robert stoi odwrócony do mnie tyłem i zauważam, że spod koszulki wystaje mu kolejny tatuaż. Intryguje mnie to, chciałabym zobaczyć, co się kryje pod spodem. Tatuaże na twarzy wyglądają niesamowicie, to bluszcz, wijący się nieregularnie po jego męskich rysach. Dodają mu zadziorności i tajemnicy. Zaczyna się rozkminianie, kto jaki bilet potrzebuje i padają pytania o wiek. Moment prawdy. Okazuje się, że między nami są większe różnice wiekowe, niż się wszystkim wydawało. Kuba jest najbardziej zdziwiony, jak okazuje się, że ja skończyłam już

pięcioletnie studia, a on dopiero rok temu skończył zawodówkę. Nie robi mi to żadnej różnicy, ale obawiam się, że jemu tak. Tylko że właściwie mnie nie obchodzi co o mnie myśli, no nie?

Spory kawałek musimy iść, ale okolica jest ciekawa. Dziwny ten Kraków, tu budynki wielkie i szeroko rozstawione, a tu znów małe i ciasno zabudowane. Mijamy sklep z pamiątkami z wielkim napisem: *Zamknięte na czas mojej ciąży. Kewinku czekamy na Ciebie! Mamusia i Tatusz*. Pod spodem widzimy wielkie zdjęcie ciężarnej kobiety w szpitalu na wózku inwalidzkim i mężczyznę z szerokim uśmiechem stojącego za nią. [WOW] Bardzo mnie to interesuje, że ta pani zostanie mamą. We Wrześni ten trend jeszcze nie jest tak rozpowszechniony, jak w większych miastach. Tutaj nikt nie ceni własnej prywatności, eksponując ją na ulicy. Dzięki przechodniom i wspólnym wysiłkom w rozkminianiu orientacji w przestrzeni docieramy na miejsce. Scena jest już rozstawiona, ale nie widać nigdzie artystów. Jesteśmy przed czasem. Wysokie czarne głośniki i ustawione równomiernie mikrofony podnoszą mi adrenalinę we krwi, mimo tego iż jesteśmy tutaj pierwsi. Powstrzymuję się przed głośnym komentowaniem wyglądu miejscowych tylko dlatego, że jestem im wdzięczna za pomoc. Bardzo wielu z nich ma modne torby wyświetlające najnowszy post z Facebooka. Hit sezonu. Elegancka blondynka, która stoi blisko sklepu z biżuterią po mojej prawej stronie, jest szczęśliwą mamą dziecka, które właśnie dziś zrobiło pierwszą kupkę do nocniczka. Parskam śmiechem pod nosem, gdy przechodzi obok niej dumny właściciel kotka, który skorzystał dziś prawidłowo z kuwety. Idealne wycucie czasu. Karolina rzekomo znalazła rozkład godzinowy koncertów, więc po długich bataliach zgadzam się wejść do baru, zamiast szukać miejsca na zewnątrz. Nie ma tutaj nawet ogródków z prawdziwego zdarzenia, tylko marne kilka zajętych krzeseł. Przed wejściem mija nas kobieta pokazująca wiele ze swoich kobiecych kształtów w skórzanej kurtce kończącej się w talii i opiętych dżinsach, machając lwim ogonem z charakterystyczną, czarną kępką sierści na końcu. Jej Facebookowa torba krzyczy: *Dziś pachnę kawą z Maca!*

– {MMM} Aż chciałbym ją powąchać – mówi z żartobliwym zauroczeniem Robcio.

Śmiejąc się wspólnie i wchodząc parami do baru, wyglądamy jak na podwójnej randce. Robert siada przy Karolinie, a Kuba koło mnie. Pierwsze pytanie pada od Roberta i wszyscy znów zaczynamy się śmiać. Zapomniał, jakie mamy imiona, a ja w przerwie między śmiechem a łykiem piwa wyskakuję z odpowiedzią:

– {EJJ} A ja nie pamiętam imion Waszych koleżanek!

Bo taka jest prawda. Śmiejemy się jeszcze bardziej, aż Kuba mówi, że tylko nasze zapamiętał, a innych dziewczyn już nie. Czuję się bardzo wyróżniona i moja pewność siebie rośnie o kilka stopni w górę. Okazuje się, że dziewczyna o męskiej urodzie to Monika, a druga Rubiconka, która rysowała paznokciami po desce to Marta. Ta pierwsza jest bliską przyjaciółką Kuby, a druga jest znajomą Roberta. Po ustaleniu danych osobowych przyuważam gry planszowe za plecami Kuby, gdy akurat staram się na niego nie patrzeć. Kuszą nas warcaby, więc tworzymy dwie drużyny. Dzielimy się naturalnie tak, jak siedzimy i ogarnia mnie nagła fascynacja tą grą i duch rywalizacji. Każde z nas wykonuje ruch i obserwuję rezultaty toku myślenia jego i naszych przeciwników. Wyczuwam, że Jacob też jest czujny i analizuje poziom inteligencji graczy. Robię to samo i stwierdzam, że najslabszy w grupie jest Robcio, który popełnia łatwe do uniknięcia błędy. Ja i mój partner przysuwamy się do siebie blisko, bardzo blisko. Tak by móc szeptać sobie do ucha strategię. Rywale nie mogą znać tych planów więc fakt, że mówią, muskam jego twarz jakimś niesfornym loczkiem, a on nosem łaskocze moje ucho, jest absolutną koniecznością. Oczywiście ich ogrywamy, piąteczka się więc należy. Bardzo podoba mi się ten błysk w jego oku, gdy skuteczniamy ten gest zwycięstwa, jest w nim siła i chyba wkrada się sympatia. Czuję, jak lina łącząca nas się umacnia. Wiemy już, że potrafimy współpracować i razem osiągać cele. Może nie zdobyliśmy złotego medalu na olimpiadzie ani nie skonstruowaliśmy wynalazku, który zmieni losy ludzkości, ale to nasz wspólny sukces.

– {AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA} – wrzeszczę z ekscytacji na szczęście nie do ucha mojego warcabowego partnera, łapiąc go jednocześnie za kolano, w podświadomej potrzebie podzielenia się z nim moją radością.

Oto za oknem przemyka Martin Prys z żoną. Zauważam swój ruch dopiero, jak czuję już szorstki materiał jego jeansów pod palcami i dreszcz podekscytowania znów się pojawia, tym razem silniejszy i w reakcji na innego faceta. [AJJ] Mogłam wziąć tę karteczkę i teraz rzuciłabym się w pościg za autografem jak psychofanka.

– {YEY} To był Martin! Widzieliście? Uwielbiam jego muzykę, potrafi mnie rozweselić i uspokoić.

– Lissi, Ty to jesteś szalona, ale takie wyrażanie emocji to rozumiem, w gronie znajomych. Ludzi, którzy wstawiają te durne posty na Facebooka i potem noszą je cały dzień na ramieniu w każde miejsce, już nie. Widzieliście tego debila, który przeszedł zaraz przed tym gitarzystą? – unosi się Kuba.

– Nie, jakiś głupi post miał na sobie? – pytam ze złośliwą ciekawością.

- Bardzo głupi: *Tylko neandertalsi to normalsi*. Nawet nie ma takiego słowa.
- To modne powiedzonko, pewnie mu się skończyła wena. Wielu ludzi uważa teraz, że noszenie tego samego tekstu dwa dni z rzędu to wstyd. Moja kuzynka ma czternaście lat i codziennie spędza godzinę przed snem, wymyślając nowego posta i dopasowując kolorystycznie ubrania, które założy do szkoły – opowiada Karo, pierwszy raz na tyle zainteresowana konwersacją, by powiedzieć całe trzy, długie zdania.
- {WOW} Takie nowoczesne trenowanie kreatywności – odpowiadam, szukając pozytywnych aspektów tego szaleństwa.
- Ja też mam taką torbę w domu, ale zabieram ją tylko na wyjścia ze znajomymi. Wybieram wtedy jakiś tekst z piosenki dopasowany do mojego aktualnego nastroju. Nie wyobrażam sobie używać jej na co dzień, pozwalać by szef czytał moje Facebookowe myśli – przyznaje z jednoczesnym usprawiedliwieniem Karo.

Zerkam na zegarek setny raz od wejścia. Kątem oka widzę, jak Kuba przewraca oczami i z rozdrażnieniem wstaje od stołu, by odnieść warcaby na miejsce. Wyskakuję na zewnątrz zachowawczo – pół godziny przed planowanym rozpoczęciem koncertu, by zbadać sytuację i słyszę, że już grają!

- Biegnijmy tam! Biegnijmy!
- Poczekaj na tamtych, poszli do toalety – odpowiada mi Robert, spokojnie paląc papierosa i wydychając dym w przeciwną (do mojego nadwrażliwego nosa) stronę.
- No choooddź, przecież nas znajdą!
- Zaraz tu będą. Nie idź sama, bo się zgubisz.

Staram się więc cieszyć dźwiękami gitar ze sporej odległości, ale ciężko mi idzie. Gdy docieramy pod scenę, to energetycznych i ekscytujących chwil z Martinem nie ma za wiele, ale za to czuję magnetyczną obecność Kuby za plecami. Na koniec przytulam się do Karo, by ukoić smutek i tak objęte ruszamy razem do wyjścia, mimo że inny zespół ma zaraz zainstalować się na scenie. Zauważamy, że podobną decyzję podjęła większa część publiki, chociaż Dead Man's Chest nie jest gwiazdą wieczoru. Idziemy wzdłuż Wisły, on jest blisko. Rozmawiamy o muzyce. Opowiadam, jak kocham metal i jak bez niego żyć nie mogę. Czuję się bardzo lekko na wspomnienie koncertu, gitarki w głowie. Kuba, którego obserwuję kątem oka, wydaje się zachwycony moją odmiennością. Patrę więc na gwiazdy na niebie i blask księżyca odbijający się od tafli wody z euforycznym uniesieniem. Pięknie! Jacoba i mnie – w idealnej synchronizacji – napada ochota na spacer po mieście, które kusi nas tajemnicami skrytymi poza

zasięgiem ciepła latarń miejskich, po drugiej stronie rzeki. Dwie marudy stają nam jednak na drodze, a rozdzielać się byłoby głupio. Przypadkiem docieramy na opustoszały przystanek idealnie w czas na ostatni autobus. Nie mieliśmy pojęcia, że na zadupie, gdzie tymczasowo rezydujemy, autobusy w nocy nie jeżdżą. Wsiadamy przed planowanym czasem odjazdu, upewniając się u kierowcy, że dotrzemy na miejsce. Kubuś siada koło okna, ja koło niego, Karo naprzeciwko Kubu a jej nogi naprzeciwko mnie. Robert siada więc z boku trochę smutny i zaczyna temat o pitbullach, które stracił. Smutne opowiadki trwają całą drogę, ale kurcze siedzenie tak blisko mi się podoba. Blisko mojego partnera od wygrywania i szalonych pomysłów.

– O nie! Mijamy King-Konga! – krzyczę.

Widzę, jak świadomość błędu po kolei zapala swoje światełko w oczach każdego z moich towarzyszy, ale jest już za późno. Panika i śmiech pobrzmiwają w naszych, rzucanych na przemian zdaniach. Narzekamy na swój los całe pięć minut jazdy w złym kierunku. Autobus oczywiście wiezie nas na sam szczyt góry w ciemny las i tereny rażąco niezabudowane. Dobrze w sumie, że pod górkę, a nie z górki, łatwiej będzie wrócić. Wsiadamy na najbliższym przystanku i autobus z kilkoma obcymi ludźmi na pokładzie, odjeżdża w pośpiechu. Bez szumu silnika robi się nagle strasznie cicho i nie jest mi już do śmiechu. Moja orientacja w terenie nie jest najlepsza, a zerkając na telefon, zauważam brak zasięgu. Jest ciemno i zimno, a cywilizacja została daleko w dole. Inaczej zaczynam patrzeć też na naszych męskich towarzyszy podróży. Tych facetów znamy dosłownie kilka godzin, a jesteśmy bezbronne i zdane na ich łaskę lub niełaskę. W oczach chłopców budzą się jak na złość jakieś chochliki i sprawiają, że Ci odmawiają zejścia z górki przed zapaleniem papierosa. Z głupkowatymi minami ustawiają się w wyluzowanych pozach przy czerwono-białym szlabanie zagrządzającym piaskową drogę spowitą nieprzeniknionymi ciemnościami, prowadzącą Bóg wie dokąd. Najwidoczniej świetnie się bawią, patrząc na nasze przerażone twarze. Boimy się same ruszyć dalej, co ustalamy bez słów, wymieniając spojrzenia. Zirytowana staję więc obok Karo, dla której Robert już odpala zapalnik. Nasze źrenice robią się coraz większe, w miarę przyzwyczajania się do ciemności. Z poszerzeniem wizji powiększa się też moja odwaga, robię więc parę kroków wzdłuż szlabanu, zbliżając się do linii drzew. Widzę kątem oka, że Kuba skłania się w moją stronę, zainteresowany moją ciekawością. W tym momencie dobiega mnie dziwny, cichy dźwięk z oddali, ale nie jestem pewna czy ludzki, czy zwierzęcy. Brzmi to jak coś z pogranicza wrzasku człowieka i goryla. Wychylając się za kępkę krzaków, zauważam małe światło, zarys człowieka z hybrydową łapą i kogoś jeszcze, ale zaraz znikają w budynku o wielu oknach. Wyczuwam

rozrzedzony zapach agresywnego wybielacza. Coś jak chlorowa aura szpitalna. [BRR] Przechodzi mnie dreszcz złych skojarzeń. Nagle podnosi się wrzask papug, wilków, kapucynek i szympansov z zoo. W kakofonii dźwięków daje się jednak wyłapać ludzkie głosy. Może treserów uciszających podopiecznych? A może to Ci ludzie z fabryki? Jak gdyby na ustalony sygnał zrywamy się do marszu. Moi kompani wdeptują niedopałki w ziemię, a ja szybko podskakuję bliżej, łapię Karo pod rękę i zaczynamy schodzić w dół stromej, ledwo oświetlonej górki. Zdążyłam jeszcze rzucić ukradkowe spojrzenie w stronę Kuby i zauważyłam, że baczenie mi się przygląda. Jako jedyny zauważył, że przestraszyłam się, zanim zwierzęta narobiły hałasu. Próbując dojrzeć coś więcej niż czubki własnych butów na czarnym asfalcie rozciągającym się pod moimi stopami, mam przed oczami powtórki ze sceny, którą widziałam w lesie. Było w tym coś dziwnego, jakaś wyczuwalna agresja i tajemnica. Co Ci ludzie robią w fabryce o północy? O takiej porze nie powinna odbywać się żadna produkcja. Jacob idzie zaraz za mną i rozprasza mnie intensywność jego wzroku na moich plecach. Robi mi się gorąco, a otaczająca nas przerażająca nocą natura, dodaje amperów do elektryzujących mnie emocji. A może to tylko mi się wydaje? Jesteśmy w obcym mieście, w kompletnych ciemnościach lasu, otoczeni dziwnymi odgłosami małp, egzotycznych ptaków i innych zwierzaków z zoo, na kompletnym odludziu i szczerze przyznam, że bardziej niż zwierząt, którymi nas straszył żartowniś z autobusu, boję się ludzi. Tych z fabryki i tych, którzy idą obok mnie. Gdy zwierzęta pozostające w niewoli na szczycie góry się uspokoiły, nastąpiła cisza. Lewy converse, prawy converse. Białe czubki moich butów odznaczają się wyraźnie na tle drogi. Dopasowałam krok do Karo, którą trzymam kurczowo przy sobie, więc idziemy synchronicznie. Dla nas jest to maksymalne tempo, ale kroki idącego za mną Jacoba brzmią nonszalancko. Ten spokój wywołuje we mnie napięcie. Zdaję sobie sprawę ze swoich zerowych szans na przegonienie tego długonogiego, tajemniczego kolesia. Leśne szelesty rozbudzają moją wyobraźnię. Czy to zarys postaci obok tego szerokiego pnia? Czy może to zwykły krzak? Odwracam wzrok i powtarzam w głowie trzy słowa: Nie jestem sama. Z tą zapętloną myślą w głowie, skupiam się krzepiącym dotyku ramienia mojej towarzyszki. Kiedy już widzę zarys marasowego food trucka, uśmiech ulgi maluje się na mojej twarzy. Patrzę z wdzięcznością na męskich towarzyszy tej wyprawy i mam już w sobie zbudowane zaufanie do tych dwóch głupoli.